

Vade nie bał się wyzwiań. Był młody, posiadał sporą wiedzę, a dodatkowo skrywał pod płaszczem najlepszego przyjaciela. Nazywał się STEINLESS, był zaostrzony z obu stron, a w świetle dnia błyszczał oślepiająco. Robił wrażenie. I już wiele razy wyciągał Vade'a z opresji.

Każde wyzwanie było do przeskoczenia, każda robota do wykonania, a zainkasowane żetony można było przeznaczyć na kolejną podróż. Tam sytuacja powinna się powtórzyć, bo wszędzie było mnóstwo ludzi, którzy chętnie wynagradzali żetonami za drobne prace. Wręczali je ochoczo, odliczając wolno i śliniąc się, jakby za długo patrzyli na gwiazdy.

Miasto, do którego przybył teraz, znajdowało się na środku pustyni. Minęło wiele godzin, od kiedy opuścił poprzednią małą osadę. Nie miała nazwy i za rok lub dwa mogło jej tam nie być. Podobnie jak setek innych, w których zatrzymywał się po drodze, od kiedy opuścił swoje rodzinne miasto. Ono również nie miało nazwy. Ale pamiętał imion swoich wychowawców.

Delia, matka. Nox, ojciec. Oraz Gerd, dziadek. Rodzice byli bicklinistami. Żywili nadzieje, że ich syn zostanie kapłanem. Ojciec mówił mu o tym niemal na każdym kroku. Matka tylko wtedy, gdy zaczynali rozmawiać o rzeczach ważnych. Natomiast dziadek miał inny pogląd na rzeczywistość, którym podzielił się z wnukiem tylko jeden raz.

– Przywdziej kaptur, Vade – mówił. – Ale nie po to, by zostać kapłanem. Nie po to, by dla swoich rodziców odbyć pielgrzymkę na Brooklyn i zobaczyć taksówki... – Patrzył mu głęboko w oczy. – Musisz tam dotrzeć i stawić czoła szaleństwu. Rozumiesz mnie?

Prawdę mówiąc, nie rozumiał. Wiedza przyszła dużo, dużo później. Zdobywał ją stopniowo, z każdym kolejnym odwiedzionym miastem, z każdą kolejną kobietą, po każdej odbytej walce. Gdy Gerd opowiadał o celu jego misji, nie rozumiał.

Ale zaufał mu, ponieważ do głosu doszedł autorytet: dziadek miał prawie czterdzieści lat!

I chociaż minęło sporo czasu, od kiedy odbyli tę rozmowę, Vade pamiętał ją doskonale. Po raz niezliczony wykorzystał poradę dziadka, gdy stanął w bramie miasta na środku pustyni. Dwie taksówki, które w czasach świetności musiały być żółte, ograniczały przejście na tyle wąskie, by mógł się w nim zmieścić tylko jeden piechur. Przed taksówkami stali dwaj rośli mężczyźni, ubrani w czarne płaszcze z kapturami. Dzierżyli długie drewniane dzidy.

Vade ubrany był identycznie, tylko miał jeszcze skórzaną torbę przewieszoną przez ramię i STEINLESSa w pochwie umieszczonej na brzuchu. Jego twarz skrywał kaptur. Obserwował nadchodzącego wartownika i czuł, jak jego rytm serca przyspiesza. W razie kłopotów, mógł wydobyc ostrze w momencie i poderżnąć mu gardło zanim drugi z nich zorientowałby się, że coś jest nie tak.

Wartownik nie sprawił jednak kłopotu.

– To jest pobożne miasto – powiedział. – Z czym do nas przychodzisz, wędrowcze?

– Jestem pielgrzymem z odległych miejsc. Przywiódł mnie tutaj widok taksówek.

Mężczyzna skinął głową. Zmrużył oczy i zapytał:

– Czy wierzysz w Trávisa-Wybawiciela?

Vade podniósł wzrok w taki sposób, by spod kaptura można było dostrzec mgiełki wytatuowane na powiekach dookoła oczu. Stalowym, zimnym głosem powiedział:

– Niech spadnie deszcz i oczyści miasto z tego syfu!

Wartownicy popatrzyli po sobie, skinęli głowami. Drugi z nich wyszedł z bramy dwóch taksówek i przepuścił Vade'a.

– Pewnego dnia bądź zorganizowany! – rzucił hasło, gdy wędrowiec go omijał.

Zastopował, spojrzął na niego i uśmiechnął się krzywo.
– Ty również, bracie.
Powiedział, po czym wkroczył do miasta.

II

Miasto na pustyni składało się z trzech bloków mieszkalnych. Mury dookoła usypano z gruzów pozostałych. W żadnym oknie nie było szyb. Ściany nie pamiętały czasów tynku, powoli rozkładały się na słońcu. Sufity, w wielu miejscach dziurawe, w deszczowe dni przepuszczały całe wiadra wody, zalewając kolejno każdą kondygnację.

Vade widział wiele takich miejsc – religia nie pozwalała na montowanie szyb, upodabniając miasta do Brooklynu i Bronxu czasów Trávisa-Wybwawiciela. Szyby w oknach były niedopuszczalne wśród bicklinisków, podobnie jak taksówki stanowiły świętość: nikt nie mógł ich niszczyć.

Słońce promieniowało tego dnia bezlitośnie, zmuszając większość mieszkańców do pozostania pod betonowym zadaszeniem. Tylko niektórzy mężczyźni wyruszyli na polowania, z których mieli wrócić za kilka dni. O zwierzynę nie było łatwo. A przy skwarnym słońcu mięso psuło się w rekordowym tempie.

Wędrowiec potrzebował kapitału na dalszą podróż. Trafił więc do miejsca, w którym zawsze można było zarobić kilka żetonów: do sanktuarium. Znajdowało się w piwnicy jednego z trzech bloków. Nietrudno było poznać, wejścia strzegli kolejni wartownicy. Vade zbliżył się do nich i poprosił o audiencję u Ekscelencji. Ostatecznie został dopuszczony, ale wcześniej musiał odpowiedzieć na wiele pytań i... dać się rozbroić.

Na widok STEINLESSa wartownicy osłupieli. Promienie słońca odbijały się oślepiająco w jego ostrzu. Takiej broni niektórzy w życiu nie widzieli. Vade domyślał się, że gdyby kapłani pozwolili na demontowanie taksówek, dla wielu osób znalazłyby się nagle ostrza. Ale taksówki były święte.

– Do czego ci to? – zapytał wartownik, znajdujący się przed drzwiami biura.

– Do oczyszczenia miasta z brudu – odpowiedział Vade. – Również waszego, jeśli Ekscelencja znajdzie mi jakieś zadanie.

Wartownik skinął głową, westchnął i zważył STEINLESSa w dłoni.

– Na czas waszej rozmowy, ja go zatrzymam – oznajmił. – Kościół ma wielu wrogów, na pewno rozumiesz.

Vade skinął głową, chociaż po raz pierwszy w życiu zgodził się na tak drastyczne środki ostrożności. A wszystko po to, by zobaczyć się z Ekscelencją i dostać jakieś zadania.

Zgodnie ze słowami dziadka, habit okazywał się pomocny. Pielgrzymka z każdym kolejnym dniem dobiegała końca.

III

– Człowiek, który stanowi zagrożenie dla naszej parafii – mówił kapłan – Znajduje się na obrzeżach miasta, w namiocie na północ stąd. Łatwo tam dotrzeć, ale trudniej załatwić problem – przerwał. – Na imię mu Gotali.

Vade skinął głową. To był ten moment, gdy musiał zadać pytanie hasło. Tylko w ten sposób mógł liczyć na późniejsze żetony.

Paweł Gęsicki – Świat się kończy
konkurs „Świat się kończy”, tekst pobrany ze strony www.wsdn.pl

- Czym ściągnął na siebie gniew Trávisa-Wybawiciela?
Ekscelencja, człowiek sędziwy, zdecydowanie ponad trzydziestoletni, zmarszczył czoło i zaczął mówić:
- Sprzedaje środki odurzające, znieważa parafian i czyni miasto brudnym.
– Dlaczego nikt nie zajął się nim do tej pory?
Ekscelencja zerknął na Vade’a i uśmiechnął się.
– Nie znalazłem odważnego – wyznał. – Trzydzieści zetonów za rozwiązanie problemu zanim zapadnie ciemność.
Vade skinął głową.
– Wieczorem przytargam jego zwłoki na główny plac – powiedziała. – Uprzedź wartowników.
Kapłan obserwował go przez dłuższy czas, zanim wreszcie zapytał:
– Jak długo wędrujesz, przyjacielu? Nigdy w życiu nie spotkałem odważniejszego człowieka.
Jak długo podróżuję? – Vade’owi przemknęły przez myśl wszystkie miejsca, w których się znalazł, wszystkie kobiety, które posiadał i informacje, które odkrył. Nadal słyszał w swojej głowie opowieść pewnego starca, którego spotkał przy ognisku w odległym zakątku świata.
Zaczęło się od zniszczenia globalnej sieci. – mówił – *Miasta straciły ze sobą kontakt, a w efekcie tego setki czerwonych przycisków na całym świecie zostały jednocześnie naciśnięte. Wielki wybuch – tak mówiła na to moja babka. Jej zaś opowiadał o tym dziadek i tak właśnie zachowywała się ta historia, której ja nauczyłem się na pamięć, ponieważ nie mogłem pojąć sensu.*
– Zaczętem wędrowkę siedem lat temu – odpowiedział Vade. – Teraz mam szesnaście.
Ekscelencja skinął głową.
– Piękny wiek, mnóstwo dobrej energii. – Poklepał go po ramieniu. – Zabierz swoją broń i idź oczyszczać miasto.
Vade zastosował się do polecenia. Gdy przekraczał próg, zastanawiał się, jak wiele osób ma świadomość wielkiego wybuchu. I ilu z nich w ogóle to obchodzi...

IV

Do namiotu Gotaliego przybył, gdy słońce oślepiło wszystkich, chyląc się ku zachodowi. Niebo pokryło się krwistoczerwoną łuną, zapowiadając zbliżający się upadek świata. Gwiazdy zaczęły pojawiać się na niebie, obserwując starcie tytanów.

Vade zbliżył się do namiotu i zdjął kaptur, by pokazać, że na głowie jest łysy, nie ma irokeza, a Travis-Wybawiciel nic dla niego nie znaczy. Jednocześnie odezwał się doniosłym głosem.

– Mam na imię Vade! Słyszałem, że można u ciebie kupić trochę nieba...

Gatoli powoli wyszedł z namiotu. Był znacznie starszy od Vade’a. Mógł mieć nawet czterdziestkę, tak jak dziadek. W dodatku był tęgi, świetnie zbudowany i odziany w jakąś ciężką szatę. Poniżej jej połów rysował się kontur czarnych spodni. Materiał był wypłowiasty, podobnie jak farba na taksówkach, ale nie było na nim śladu dziur.

Miał twarz zabójcy. Był łysy, a jego oblicze i głowę zdobiły podłużne blizny. Jedna z nich wykrzywiała kącik ust w grymasie przerażenia.

– O jaki dokładnie towar pytasz? – głos był spokojny, niemal kojący.

Vade wzruszył ramionami.

Paweł Gęsicki – Świat się kończy
konkurs „Świat się kończy”, tekst pobrany ze strony www.wsdn.pl

– Pragnę skosztować meskaliny – powiedział. – Przede mną długa droga, do jutra wieczór chciałbym napotkać kolejną osadę.

Gatoli skinął głową. Machnął zachęcająco do Vade’a.

– Zapraszam do środka, na pewno znajdziesz coś dla siebie.

Wędrowiec ruszył więc za starym mężczyzną. Przekroczył próg namiotu, w którym paliło się nieduże ognisko. Zbliżył się do Gatoli, który akurat się odwrócił. Vade szarpnął za rękojeść STEINLESSa. Wzbił ostrze w górę. Wycelował dokładnie w sam środek pleców.

Zanim opuścił ostrze, usłyszał głośny huk. Nagle stracił siłę w rękach. W nogach również. Zamiast opuścić ostrze na olbrzyma, upadł na plecy. Poczł krew w ustach. Ostatkiem sił spojrzł na swój tors. Wyzierała z niego ogromna dziura.

Gatoli spokojnie odwrócił się do niego. Uśmiechnął się, po czym pokazał mu trzymany w ręce przedmiot. Miał kształt podłużnej klamki do drzwi. Tylko że w środku był grubszy.

– To jest COLT – wytłumaczył Gatoli. – Zmywam nim syf z ulic...

Pozwolił Vade’owi spokojnie umrzeć, po czym zakopał go wiele metrów za namiotem. W tym samym miejscu, gdzie spoczęło dwóch poprzednich proroków bicklinizmu.